EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 5 lutego 1933 R. | NR. 6 (19)

Prawa jednostki

Wielkie plany technokracji

Burza o trykoty

Quo-Vadis U. S. A.?

Zamach na ustawodawstwo pracy

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki. Listy do „Epoki."

AUTORZY: BOROWSKI. ROGOWICZ. LUKREC. ŻYCIEŃSKI. BARANOWSKA. SZPECHT. BOGUSZEWSKA.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

RADYKALIZACJA JAPONJI

Wówczas, gdy nienasyceni imperjaliści japońscy okupują „ze względów strategicznych" coraz to nowsze połacie Chin, gdy skrajny nacjonalizm święci tryumf bezkarności na polach Dżeholu, w kraju rodzi się reakcja przeciw zachłannemu militaryzmowi. Na uniwersytetach powstają organizacje pacyfistyczne i rewolucyjne, wśród myślącej inteligencji japońskiej wzrasta niezadowolenie z zewnętrznej i wewnętrznej polityki rządu markizów. W ciągu ostatniego roku policja osadziła w areszcie ponad 6½ tysiąca „przestępców politycznych"; między innemi sędziego, wyższego funkcjonarjusza ministerstwa spraw zagranicznych, urzędnika wymiaru sprawiedliwości, dwóch profesorów uniwersytetu i wielu studentów, wśród których wyróżnia się swą antywojenną działalnością... syn sekretarza gabinetu ministrów.

Policja polityczna przyszywa wszystkim japońskim radykałom miano „komunistycznych wywrotowców", ale trudno żądać dokładnej klasyfikacji ideologicznej i partyjnej od samurajów, dla których naruszenie czci, oddawanej zmarłym przodkom jest przestępstwem nietylko religijnem, lecz czynem „antypaństwowym".

ZACZAROWANY KRĄG

Jeden z najwybitniejszych karykaturzystów politycznych doby dzisiejszej, Strube, zamieścił w londyńskim „Daily Expressie" następującą karykaturę: na półkuli, wyobrażającej ziemię, stoi „mały człowiek", przeciętny obywatel, mocno zafrasowany kartką z napisem „światowa konferencja gospodarcza". W mózgu „małego człowieka" rodzi się pytanie: „kto zawinił?" Wokół siebie widzi krąg dziwacznych postaci, z których każda wymownym gestem wskazuje na sąsiada. Koło, otaczające kulę ziemską, tworzą kolejno: kryzys, bezrobocie, martwe rynki, zdeprecjonowane waluty, spadek cen, nadprodukcja, maszynizacja, podstępy techniki, rozwój nauki, międzynarodowa konferencja, zbrojenia, długi wojenne, podatki. Te znów wskazują na... kryzys, kryzys na bezrobocie i tak dalej, i tak dalej; jedno spycha winę na drugie, nikt nie zawinił, tylko jego sąsiad w logicznie powiązanym łańcuchu.

Któreż ogniwo zaczarowanego łańcucha należałoby przerwać, by „mały człowiek" wybrnął z otaczającej go matni?

BOHATERSTWO UCZONEGO

Bohaterowie nauki nie zrażają się obniżeniem budżetów na cele naukowe we wszystkich krajach i kontynuują żmudną swą pracę dla dobra ludzkości, z narażeniem nieraz życia. Do takich należy węgierski geolog, profesor Arpad Kirner, który odważył się poraz pierwszy w dziejach ludzkości opuścić się do krateru czynnego wulkanu Stromboli na wyspach Liparyjskich.

Spędzone przezeń w kraterze, w oparach żrących gazów, tuż nad potokami wrzącej lawy, w tumanie popiołu trzy godziny zaiste nazwać można „przebywaniem w piekle". Profesor Kirner miał na sobie asbestowe niepłonące odzienie, ogniotrwałe buty i hełm, oraz spory zapas tlenu. Największą trudność miał profesor z liną; najmocniejsza lina stalowa nie wytrzyma żaru i może się przerwać, co równoznaczne byłoby ze śmiercią badacza w potokach lawy. To też po dłuższych doświadczeniach użyto specjalnego rodzaju liny asbestowej, wewnątrz której znajdował się drut dla przewodu elektrycznego światła i sygnalizacji.

Na dnie wulkanu prof. Kirner stwierdził istnienie ogromnej ilości gazów siarczanych, mieniących się kolorami: żółtym, czarnym i czerwonym. Temperatura powietrza sięgała 65° Celsjusza, temperatura warstwy ziemnej na dnie krateru przekraczała 100°. Co kilka metrów spotykał kałuże, zapełnione żółtą masą kipiącej lawy. Od czasu do czasu kałuże te wybuchały, wyrzucając na wysokość kilku metrów strugi lawy, deszcz popiołu i rozżarzone kamienie wielkości ludzkiej głowy. Wybuchy te powtarzały się z dość dokładną jednostajnością.

Po trzech godzinach męczącego pobytu w „piekle" prof. Kirner dla braku tlenu nadał sygnał odwrotu. Wydobyty z krateru stracił przytomność. Jeden z tajników natury — praca czynnego wulkanu — został jednak naturze wydarty.

»OPERA«

Nie przebrzmiały jeszcze echa zeszłorocznych uroczystości ku czci Goethego, a już we wszystkich większych miastach niemieckich zawiązują się komitety obchodu pięćdziesięciolecia śmierci Wagnera. Na łamach *„Berliner Tageblattu"* otwiera „Rok Wagneriański" znakomity muzykolog, Alfred Einstein, który w dłuższym artykule przypomina, że Wagner zabronił nazywać siebie autorem oper i w tym celu ponadawał swym utworom nową zupełnie nazwę — dramat muzyczny. Naprzekór jednak życzeniom Mistrza młodzież dzisiejsza nic nie chce o Wagnerze wiedzieć. „Jest on dla niej synonimem kłamstwa, głupiego patosu, złego teatru, jednem słowem — *opery*". „Rodzinne Bayreuth Wagnera, powiada Einstein w innem miejscu swego artykułu, — to rekwizytornia historyczna, miejsce pielgrzymek wyznawców religji, która przestała już żyć."

»NA SPRZEDAŻ I DO WYNAJĘCIA«

Dość porównać tegoroczne wydanie almanachu angielskiego ziemiaństwa, t. zw. „Burke Landed Gentry" z wydaniem 1921 roku, by się przekonać, że conajmniej trzecia część wielkich własności ziemskich przestała istnieć. Tak charakterystyczne dla prowincji angielskiej posiadłości o obszarze 10 czy 20 tysięcy mórg rozdrabniają się z roku na rok, nieustannie zmieniają właścicieli i spadają w cenie. Właściciel majątku szacowanego w 1920 r. na 10.000 sprzeda go dzisiaj za 1.500 funtów, na raty i kilku różnym klijentom, — po kawałku.

Jeśli się jeszcze dzisiaj łakomią ludzie w Anglji na ziemię, to jednak części majątku obejmującej dwór, nikt kupić nie zechce. W samem tylko hrabstwie Somerset pustkami stoi 200 dworów ziemiańskich z przyległościami, — reszta majątku sprzedana, a dworu ani rusz nikomu nie da się odstąpić. Widocznie wysokie koszty utrzymania wielopokojowego budynku, ogrodu, parku i t. p. stanowią główną przyczynę niechęci. Jeśli taki ogołocony z ziem pałac czy zamek dawnych możnowładców znajduje się blisko miasta, wówczas łatwiej choćby o wynajęcie

TRYKOT A MORALNOŚĆ KOŚCIELNA

W połowie stycznia w Sądzie Okręgowym w Łomży toczył się proces, który wniósł duże ożywienie w senną wegetację tej, dobrze mi znanej, dziwnie niemrawej, mimo dawnego tytułu „miasta gubernjalnego", mieściny. Oto 19 nauczycieli miejscowego żeńskiego seminarjum nauczycielskiego zostało oskarżonych o zniesławienie przez swego kolegę, prefekta tegoż seminarjum, ks. Ładę. Podstawą oskarżenia był list, wydrukowany w czerwcu r. ub w „Przeglądzie Łomżyńskim", podpisany przez tych 19 nauczycieli, gdzie zarzucono ks. Ładzie niekoleżeńskie postępowanie, a ponadto uczyniono go odpowiedzialnym za wprowadzenie destrukcji w pracy wychowawczej na terenie szkoły i rozdźwięku pomiędzy nauczycielstwem a młodzieżą oraz za kopanie przepaści pomiędzy nauczycielstwem a społeczeństwem. Wobec tego podpisani nauczyciele oświadczają, że przestają uważać ks. Ładę za kolegę i nie będą mu podawali ręki.

Jak widzimy, chryja całą gębą i nielada sensacja dla miasteczka, liczącego wyjątkowo dużo szkół.

Oczywiście, list ten, tak ciężkie stawiający zarzuty księdzu — wychowawcy, był nie protestem przeciw pojedyńczemu wypadkowi jakiegoś nietaktu, lecz wyrazem przepełnienia się miary cierpliwości kolegów, zmuszonych walczyć z zapędami „misyjnemi" prefekta, by w świeckim zakładzie naukowym zdobyć niepodzielny „rząd dusz". Żarłoczność kleru katolickiego w tej dziedzinie daje w ostatnich latach tyle jaskrawych przykładów, że łatwo sobie wyobrazić, z jaką energją ten nauczyciel w sutannie, a raczej ta sutanna na nauczycielu chciała tam rej wodzić.

Bezpośrednim powodem ogłoszenia inkryminowanego listu z bojkotem katechety było wydanie przez biskupa łomżyńskiego orędzia pasterskiego do rodziców i wychowawców, gdzie biskup protestował *przeciwko odbywaniu w szkołach żeńskich ćwiczeń w ubiorach gimnastycznych.* W tem orędziu postawiono m. in. zarzut, że uczennice seminarjum były zmuszone występować w strojach gimnastycznych w zawodach zbiorowych, wyznaczonych na dzień Bożego Ciała w czasie nabożeństw. Na przewodzie sądowym zostało stwierdzone, że ks. Łada ma bardzo słabą pamięć (już choćby z tej racji zajmowanie posady prefekta jest conajmniej niewłaściwe), gdyż *przed wydaniem orędzia* wiedział o tem, że uczennice seminarjum *nie będą brały udziału* w tych zawodach, zwrócił się bowiem z prośbą o to do nauczycielki wychowania fizycznego i dyrekcja zakładu prośbę tę *uwzględniła.* Biedaczyna zapomniał o tem wszystkiem i, rzecz jasna, tak poinformował biskupa, że ten postawił w swem orędziu zarzuty niesłuszne. Po przeprowadzeniu przez oskarżonych dowodu prawdy, potwierdzającego słuszność zarzutów, postawionych ks. Ładzie, sąd wydał wyrok uniewinniający wszystkich 19 nauczycieli.

Wniosek: ktoś tu otrzymał zupełną, publiczną satysfakcję, a ktoś został zupełnie, publicznie skompromitowany.

A jednak... żal mi w gruncie rzeczy ks. Łady, bo istotna jego wina w tem tylko leży, że zagalopował się zbytnio w gorliwości wykonywania zleceń swego zwierzchnika hjerarchicznego. Jest on poniekąd ofiarą swego posłuszeństwa. Właściwym sprawcą jego paskudnej dekonfitury jest biskup łomżyński, ks. Łukomski, nie od dziś znany ze swej bezwzględności w tępieniu tego, co kościół uparł się nazywać „niemoralnością". Z chwilą powołania jego poprzednika, ks. Jałbrzykowskiego, człowieka o wybitnych zdolnościach administracyjno - gospodarczych, na stolicę arcybiskupią w Wilnie, Łomża stała się jedną z twierdz wojującego kościelnictwa w Polsce. Biskup Łukomski byłby bardzo na miejscu jako opat Kartuzów, Kamedułów czy Trapistów, wietrzących wszędzie grzech cielesny, egzaltujących zapewnienie św. Pawła, że „zmysł ciała jest nieprzyjacielem Bogu" i że „którzy są w ciele, Bogu się podobać nie mogą" (List do Rzymian, VIII, 7. 8). Boć czytamy w orędziu tego biskupa w sprawie owych nieszczęsnych „ubiorów gimnastycznych" (teksty wg. K. A. P'a z 30 maja 1932 r.), że na publicznem boisku „*mają się odbywać harce, dające okazję do zgorszenia i licznych grzechów*". Zatrwożony pasterz pyta z emfazą: „Czy ci, którzy je urządzają, nie obawiają się cięższych jeszcze doświadczeń i kar Bożych od tych, które już na nas spadły? Czy trzeba wywoływać jeszcze większy gniew Boży za obniżanie uczuć religijno - moralnych?"...

Cóż za potęgę przypisuje Jego Excelencja parze gołych ramion i łydek gimnastykujących się dziewcząt w losach naszego narodu! Ba, całego współczesnego świata, bo w innych krajach dzieje się przecie to samo. Wierni djecezji łomżyńskiej wiedzą teraz, gdzie leży istotna przyczyna kryzysu światowego:

Na stole Sądu Okręgowego w sławetnem mieście Łomży!

Bo tam w procesie ks. Łady zademonstrowano dowód rzeczowy „niemoralności" seminarzystek w postaci ubioru gimnastycznego, używanego przez wszystkie uczennice seminarjum, a wykonanego ściśle według obowiązujących przepisów Min. W. R. i O. P. Biskup Łukomski i tę chytrość sądową snać przewidział, pisząc w sławetnem orędziu, po wezwaniu rodziców i kierowników szkół do zmiany obecnej praktyki, dosłownie tak: „Samą zaś młodzież wzywam do niewystępowania w ubraniu, które ją naraża na wstyd i na ujemną krytykę oraz wywołuje publiczne zgorszenie. Pamiętać trzeba o tym nakazie Piotra św. (Dz. Ap. 5, 29): więcej trzeba słuchać Boga, czyli Jego przepisów moralnych, niż ludzi". Brak cudzysłowu przy tekście biblijnym, skłonił mnie, niewiernego Tomasza, do zajrzenia do źródła. Przeczytałem: „Tedy odpowiadając Piotr i Apostołowie rzekli: Więcej trzeba słuchać Boga, niż ludzi". Czyż jestem ślepy?... Słów „czyli Jego przepisów moralnych" po słowie „Boga" — nie znalazłem. A więc jest to *uzupełnienie* ks. biskupa Łukomskiego. Mniejsza o to, gdyby „przepisy *moralne*" nie były pojęte w najciaśniejszym sensie *obyczajności katolickiej.*

Ale o podstawianiu na miejsce pojęcia „moralność" pojęcia „obyczajność katolicka", o identyfikowaniu tych pojęć tu nie będę się rozwodził. Ta substytucja znajdzie swe oświetlenie dziejowe w szerzej zakrojonej pracy o mistrzowskiem odwiecznem eskamotowaniu przez kościół idei *moralności chrześcijańskiej, to znaczy wypływającej nieuchronnie*

z nauki Chrystusa, na rzecz *moralności kościelnej.* Tutaj interesuje mnie tylko dziwnie pojęte duszpasterstwo, które wzywa młodzież do nieposłuszeństwa przełożonym, zasłaniając się autorytetem samowolnie *poprawionego ad usum Ecclesiae Militantis* tekstu Księcia Apostołów.

Licencja, doprawdy, zdumiewająca u prawowiernego katolickiego biskupa.

I jakie nieostrożne jest to „słuchać Boga czyli Jego przepisów moralnych", jeśli się ma na myśli *przepisy moralne kościoła katolickiego* — jeśli się je *w duchu utożsamia z przepisami moralnemi Boga,* co rozumieć należy: Chrystusa.

Weźmy, Excelencjo, parę przykładów—zestawień, które mi się, choć jestem laikiem, cywilem, nie specjalistą duchownym, nieodparcie nasuwają:

Chrystus nakazał: Miłujcie nieprzyjacioły wasze.

Kościół zasię tak to komentuje: Bulla Leona X „Exurge Domine" powiada: *„Errorem hunc... haereticos comburi est contra voluntatem Spiritus Sancti — tamquam haereticum, scandalosum, falsum, piarum aurium offensivum, simplicium mentium seductivum et veritati catholicae, obviantem, damnamus, reprobamus et omnino reicimus".* Czyli — zdanie, że palić heretyków na stosie jest przeciwne woli Ducha Świętego, jest heretyckie, gorszące, fałszywe, obrażające uszy pobożne, zwodnicze dla umysłów prostych i przeciwne prawdzie katolickiej, jest błędem, który potępiamy i t. d.

Powie Excelencja, że to wiek XVI, pontyfikat, przy którym narodziła się herezja Lutra, wyjątkowa sytuacja dla kościoła katolickiego; stąd ten Medyceusz tak się sroży.

No, a uroczysta formuła *przysięgi,* którą Wasza Excelencja, przy otrzymywaniu swej sakry biskupiej *musiał wypowiedzieć...* w wieku XX?...

„Ego N. Electus Ecclesiae N. ab hac hora in antea fidelis et obediens ero beato Petro Apostolo, sanctaeque Romanae Ecclesiae et Domino nostro, Domino N. Papae N. suisque Successoribus canonice intrantobus... Haereticos, schismaticos et rebelles eidem Domino nostro, vel Successoribus praedictis, pro posse persequar et impugnabo".

Co przecie po polsku nie inaczej się wykłada, jak

„Ja N. Elekt Kościoła N. od tej godziny nadal będę wierny i posłuszny błogosławionemu Piotrowi Apostołowi, Świętemu Rzymskiemu Kościołowi i Panu naszemu, Panu N. Papieżowi N. i jego następcom, kanonicznie wstępującym... Heretyków, schyzmatyków i zbuntowanych przeciwko temu Panu naszemu albo Następcom Jego, wyżej powiedzianym, o *ile tylko będę mógł, będę prześladował i tępił".*

Zdradzam wasze kościelne tajemnice?...

Vous l'avez voulu, Monseigneur!

Wacław Rogowicz

WIELKIE PLANY TECHNOKRACJI

Złośliwcy twierdzą, że Amerykanie mniej się oddają rozkoszom brydżowym, ponieważ cały wolny czas poświęcają na studjowanie technokracji. Niegdyś olbrzymią popularnością cieszyło się Mah-Jong — powiadają — potem krzyżówki, później miniaturowe boiska golfowe, teraz Ameryka wynalazła sobie technokrację.

Istotnie, cała Ameryka interesuje się nową teorją, na wszystkich szczeblach społecznych czyta się i studjuje najeżone terminami technicznemi wypracowania Howarda Scotta, twórcy technokracji, lub popularne broszury jego uczniów, albo wreszcie zwulgaryzowane artykuły prasy codziennej i tygodniowej. Technokracja stała się bardzo przyjemnym przedmiotem dyskusji w okresie kłótni o długi wojenne, sporów o piwo i wino, wygórowanych żądań byłych żołnierzy, skarg farmerów — i niezaradności zawodowych polityków wobec tych wszystkich zagadnień, które irytują obywatela.

Technokracja jest również amerykańską odmianą reakcji społeczeństwa przeciwko panującemu systemowi politycznemu. Gdzieindziej reakcja ta przybrała formy faszyzmu, sanacji, hitleryzmu, — w Ameryce, która wychowała swoją ludność w kulcie dla maszyny i dla postępów techniki, nowa religja polityczna nazywa się technokracją. Przeminęła arystokracja, czyli rząd wybranych; przemija demokracja, czyli rząd ludu; nadchodzi technokracja, czyli rządy techniki, władza ludzi, którzy umieją sobie dać radę z wszechpotężną maszyną.

„Technokracja" — powiada znany profesor Nicholas Murray Butler, Prezydent Uniwersytetu Kolumbijskiego, który swój aparat naukowy oddał do dyspozycji badaczom - technokratom — jak i demokracja, oznacza ustaloną formę społecznej, gospodarczej, a zatem i politycznej organizacji i władzy. Oznacza system, opracowany na podstawie doświadczeń masowej produkcji maszynowej, rozwiniętej w ciągu ostatnich dziesiątków lat przez stałe stosowanie nauki, zwanej techniką."

Prof. Butler odrazu jednak zastrzega się, że narazie wszystko ogranicza się do „zbierania danych o stosunku maszyny i masowej produkcji do zatrudnienia jednostek ludzkich i do ich zdolności konsumcyjnej". Wszelkie przepowiednie o rewolucyjnych zmianach, które przyniesie technokracja już w najbliższej przyszłości, są przedwczesne i nieuzasadnione, są sensacyjne, ale nieistotne. Kiedy zebrane będą dostateczne dane, dowodzi dr. Butler, trzeba je będzie zainterpretować nietylko w świetle technologji, ale i w świetle historji rozwoju ludzkości i przemian natury ludzkiej.

Zresztą, sam Howard Scott w pierwszym artykule, podpisanym własnym nazwiskiem, w grudniowym zeszycie nowojorskiego „The Living Age", twierdzi, że „technokraci nie dają rozwiązania zagadnienia, lecz stawiają jedynie problem, wynikły z technologicznego stosowania czynników energetycznych w nowoczesnym mechaniźmie społeczno-przemysłowym".

Prof. Butler i Scott sprowadzają technokrację do jej właściwych rozmiarów i znaczenia, jako próby ustalenia pewnej teorji społeczno-gospodarczej na podstawie badań dzisiejszego ustroju ekonomicznego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Nie należy bowiem zapominać o tem, że i twórcy nowego systemu całkiem świadomie mówią tylko o kontynencie północno-amerykańskim, jako terytorjum stosowania zasad technokracji.

Zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy technokratów muszą jednak przyznać, że grupa Howarda Scotta oddała wielkie usługi swojemu społeczeństwu już przez sam ten fakt, że pociągnęła je do gospodarczego myślenia i do głębszego zajęcia się najszerszych mas podstawowemi zagadnieniami gospodarczego bytu 120 miljonowego narodu, zamieszkującego najbogatszy bodaj na kuli ziemskiej jednolity obszar.

Dyskusja w sprawie technokracji zatoczyła niezmiernie szeroki krąg i dała więcej bodaj ciekawego materjału cyfrowego i myślowego, aniżeli publikacje samych technokratów.

P. Alfred P. Sloan, prezes olbrzymich zakładów samochodowych General Motors Corporation imieniem 150 „leaderów" przemysłu, finansów, techniki etc. złożył oświadczenie, że jedynem wyjściem z kryzysu jest nieustający rozwój badań technicznych, wynalazczości i udoskonaleń, ograniczających pracę ludzką. Rozwój ten stworzy nowe potrzeby w przemyśle i da nowe zatrudnienie. Jego własne przedsiębiorstwo będzie nadal szło po drodze dalszych udoskonaleń technicznych.

Co najbardziej zraża „sfery gospodarcze" do technokracji? Niewątpliwie fakt, iż proponują oni planową gospodarkę. Wprawdzie zarzekają się, że ich system nie jest ani socjalistyczny, ani komunistyczny, ale radykalna „The New Republic" przypomina im, że już stary Karol Marks przepowiadał, iż maszyna sprowadzi bezrobocie i świat kapitalistyczny stanie w obliczu „bezrobocia technologicznego", że przestrzegał przed niebezpieczeństwami kapitalistycznego systemu cen i t. p.

„The New Republic" twierdzi, że technokracja to niebezpieczny środek usypiający społeczeństwo amerykańskie w obliczu katastrofy. Ta opinja nie wydaje się nam słuszna. Technokracja stała się raczej środkiem podniecającym do myślenia i działania. Najlepiej o tem świadczy zaniepokojenie „sfer gospodarczych". Bliższym prawdy wydaje się angielski tygodnik „The Woekend Review", który pod tytułem „Amerykańska rewolucja" ostrzega, że nie należy lekceważyć technokracji. Przecież przed piętnastu jeszcze laty lekceważyło się bolszewizm!

W Ameryce, jeżeli użyć żargonu komunistycznego, istotnie wytworzyła się „rewolucyjna sytuacja". Amerykanin nie ma inklinacji i zaufania ani do socjalizmu, ani tembardziej do komunizmu. Faszyzm pod jakąkolwiek pokrywką jest wstrętny dla obywatela Stanów Zjednoczonych. Tedy, skoro zawalił się system „prosperity" i zbankrutowali politycy tego okresu, jak Hoover i inni, a nie powstała żadna nowa organizacja polityczna, szanse technokratów nie powinny być lekceważone. Ich tezy: walka z lichwiarskim kapitałem bankowym, obalenie potęgi „vested interest" magnatów przemysłowych, planowa gospodarka, powszechna i zdemokratyzowana „prosperity", znajdują żywy oddźwięk w społeczeństwie. Nowy Prezydent, Franklin Roosevelt, który ma jeszcze kilka tygodni na opracowanie swojego programu rządowego, zanim w dniu 4 marca obejmie w posiadanie Biały Dom, będzie się musiał liczyć z nastrojami, wywołanemi przez ogłoszenie tych prawd technokracji.

Jerzy S.

ODGŁOSY

JAK PO GRUDZIE...

Wkrótce ukaże się w druku praca Jana Władysława Dawida p. t. „Psychologja Religji".

Będzie to pierwsze wydanie tej książki. Wł. Dawid, wielki psycholog i pedagog umarł w 1914 r., gotowa więc przed śmiercią jego praca ujrzy światło dzienne dwadzieścia prawie lat po jego śmierci.

„Psychologja Religji" tułała się przez ten cały długi czas po różnych instytucjach, na biurkach różnych wydawców i nawet w przybytku pomocy naukowej, powołanej do popierania piśmiennictwa ojczystego. Ale już wprost zdumiewającą jest wiadomość, że J. Wł. Dawid, autor znakomitego dzieła p. t. „Inteligencja, wola i zdolność do pracy", będąc na emigracji zwracał się z podaniem do wyżej wspomnianej instytucji pomocy naukowej, prosząc o kilkuset rublową zapomogę. W podaniu tem wyraźnie zaznaczał, że opracowanie zebranych materjałów do „Psychologji Religji" wymaga spokoju zabezpieczenia materjalnego na przeciąg jednego roku i dzięki temu zdoła przez ten czas rzecz całkowicie ukończyć i przygotować do druku.

J. Wł. Dawid, mający, zdaje się, wszelkie kwalifikacje i pełne prawa do poparcia ze strony owej instytucji, zapomogi nie otrzymał, a to z tego powodu, o zgrozo!, że przebywał zagranicą... bez legalnego paszportu rosyjskiego. Ukończył więc pracę swoją o własnych siłach, w straszliwych warunkach osobistych, cierpiąc moralnie i fizycznie, często w zupełnym niedostatku.

Na szczęście są u nas jeszcze budnicy, którzy nie zasnęli na swoich stanowiskach i są wydawcy, którzy nie kierując się względami zysków, lecz powodowani obowiązkiem moralnym i obowiązkiem podtrzymywania trudu myśli — ocalili rękopis od zbutwienia i dają po dwudziestu latach zadośćuczynienie pamięci J. Wł. Dawida, oraz częściowo wyrównują krzywdę, wyrządzoną pisarzowi i piśmiennictwu.

Ale dzieją się też inne ciekawe w tej dziedzinie rzeczy. W 1928 r. wyszło dwutomowe dzieło Aleksandra Świętochowskiego p. t. „Historja chłopów polskich", wydane we Lwowie — Poznaniu nakładem „Wydawnictwa Polskiego". Nie mogąc pozwolić sobie na poważny bądź co bądź wydatek kupna tego dzieła, zgłosiłem się do jednej z największych bibljotek polskich, iżby je tam na miejscu przestudjować. I cóż się okazało?

W kraju rolniczym, posiadającym około 70% ludności wiejskiej, chłopów, szlachty, inteligencji wiejskiej, w kraju, gdzie istnieją liczne odłamy, towarzystwa, stronnictwa ludowe, świat *polityków, teoretyków, bojowników, obrońców ludu* — nie czyta się dzieł, poświęconych najważniejszej sprawie.

W kraju, gdzie nad głową całego narodu rozpięty jest sztandar ideologji ludowej, gdzie unosi się wizja nowej cywilizacji ludowej, gdzie romantyzm pod strzechą wiejską szukał nieskażonej narodowości, skarbnicy ducha, języka, wiary głębokiej — nie interesują się dziełami wsi polskiej.

W kraju, gdzie kwestja rolna od czasów sejmu czteroletniego pokutuje i czeka na rozwiązanie, gdzie najlepsze rozumy i zatroskane serca zwracały się do chłopa od czasów Kościuszki i Kołłątaja do Mickie-

wicza i Słowackiego, od Norwida i Kraszewskiego do Wyspiańskiego i Żeromskiego, chcąc wyczarować świat dobrobytu i dostojeństwa wsi polskiej — są wielkie bibljoteki, w których kapitalne dzieła, poświęcone sprawom dziejowym tej wsi leżą *nietknięte i nierozcięte*.

Dla kogoż więc były pisane? Dla kogoż ten wieloletni mozoł? Dla kogoż Świętochowski zgromadził tę skarbnicę wiadomości, dokumentów, pocóż poniósł trud wieloletni i rozpostarł ten wielki o wspaniałych barwach i rysunkach obraz dziejów chłopów polskich?

Przykład ten jest bardzo wymowny, świadczy przedewszystkiem o tem, że dzieła tego się nie czyta, że o niem się milczy, że nawet *za darmo nie bierze* się go do ręki. Skąd zatem ma się wyrabiać w kraju jasny pogląd na dziejową i bytową sprawę rolną, jeżeli się nie zna historji wsi polskiej?

H. Lukrec

BŁĘDNY KROK

Przytoczyliśmy już w „Epoce" (Nr. 1/14) wyjątek z memorjału, złożonego p. ministrowi wyznań religijnych i oświecenia publicznego przez Związek Nauczycielstwa Polskiego w sprawie zmian, jakie w ustawie o stosunkach służbowych nauczycielstwa wprowadziło rozporządzenie P. Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 21 października r. ub. W tej samej sprawie zamieszcza „Głos Nauczycielski", centralny organ Z. N. P., artykuł wstępny p. t. „Błędny krok", w którym czytamy:

„Wieść o zmianach, dokonanych w ustawie o stosunku służbowym, wstrząsnęła do głębi ogółem nauczycielstwa. Mimo, iż dotychczas nie ukazały się jeszcze rozporządzenia wykonawcze, którym ustawa w nowem brzmieniu powierza uregulowanie całego szeregu zagadnień — nauczycielstwo dokładnie wyczuło ducha dokonanych zmian i zrozumiało je jako degradację społeczną i zawodową.

I trafnie. Ustawa o stosunkach służbowych z roku 1926 stwarzała sprzyjające warunki do wytworzenia się u nas typu nauczyciela - obywatela. Wykonując funkcje swego zawodu, nauczyciel podlegał hierarchicznie władzom szkolnym. Jak każdy funkcjonarjusz państwowy, składał on przysięgę, iż będzie„ obowiązki swego stanowiska spełniał gorliwie i sumiennie, a polecenia swych przełożonych wykonywać dokładnie".

Jednak władza przełożona nie mogła samodzielnie decydować o nauczycielu, tak jak np. władza administracji ogólnej o podległym jej urzędniku, lecz w ważniejszych momentach zasięgać musiała opinji czynnika obywatelskiego, z którym nauczyciel współpracował. Miało to miejsce przy mianowaniach w drodze konkursu, przy przenoszeniach ze względu na dobro szkoły, a także przy postępowaniu dyscyplinarnem.

Taki układ stosunków miał swój głębszy sens. Wskazywał on na to, iż nauczyciel ze względu na charakter swej pracy jest nietylko funkcjonarjuszem państwa, ale i pracownikiem społecznym, obywatelem, który z mocy swego posłannictwa sięga po ster prac społecznych i autorytet swój czerpie nietylko z aktu nominacyjnego — ale i z moralnego oparcia się o społeczeństwo, z którem pracuje.

Dziś czynnik społeczny ze stosunków służbowych nauczycieli został wyeliminowany. Jedynym i decydującym czynnikiem w tych stosunkach jest władza szkolna, gdyż nawet sądy dyscyplinarne wobec usunięcia z nich czynnika obywatelskiego, sędziowskiego i zawodowej obrony upodobniły się do jednej z instancyj zwykłego postępowania administracyjnego. Jest to niewątpliwie „usprawnienie" toku postępowania, które nie uznaje społecznej roli zawodu nauczycielskiego."

TEATR I KINO

Niebawem ma być w Moskwie zorganizowana Akademja Sztuki Teatralnej. Mówiąc o jej zadaniach, Stanisławski, światowej sławy dyrektor Teatru Artystycznego (obecnie z dodatkiem: im. Gorkija) w Moskwie, który świeżo powrócił do Rosji z zagranicy, wypowiedział następujące znamienne uwagi:

„W okresie bezprzykładnego kryzysu, jaki przechodzi teatr na Zachodzie, obserwujemy tam zjawisko nader niebezpieczne, mianowicie: utalentowani przedstawiciele dawnej kultury teatralnej starzeją się i stopniowo opuszczają scenę. nie pozostawiając godnych siebie zastępców. Dlatego to widzi się tam stopniowe zamieranie tradycyj sztuki teatralnej. Tracić je jest czemś zatrważającem: nic po nich nie zostaje prócz wspomnień współczesnych. Gramofony, kino dźwiękowe? W obecnej chwili są one pozbawione rzeczy podstawowej, która stanowi naszą moc, — fal promieni, łączących nas z widzami, a wysyłanych przez nas ze sceny na widownię. Czyż martwy dysk, działający zamiast aktora, może wywołać tę łączność z widzem? Oczywiście, nie.

Teatr chwieje się wskutek olbrzymiego sukcesu, popularności, niskiej ceny, powszechnej dostępności i innych cech kina; jestem przeświadczony, że *teatr średniej wartości lub lichy jest skazany na zagładę*, w najbliższej przyszłości. Jest mało prawdopodobne, żeby publiczność chciała chodzić do teatru, płacąc po 5 do 10 rubli za miejsce, i widzieć aktorów przeciętnych lub marnych, gdy za rubla może się rozkoszować cały wieczór grą najlepszych przedstawicieli sztuki teatralnej świata na ekranie. Ale ci co sądzą, że nawet *teatr pierwszorzędny* kończy się, grubo się mylą. Nawet „Wielki Niemowa" który ostatniemi czasy zaczął mówić nie ma sił walczyć z nim.

Tradycje i dawna sztuka Zachodu, których niegdyś i my byliśmy uczniami, zanikają. Jest to zastraszające szczególnie tam, — po drugiej stronie granicy, — gdyż warunki pracy aktora wobec powszechnego kryzysu stały się okropne. Te warunki wyczerpują starych aktorów i nie dają dostatecznej liczby nowych artystów.

Państwo nie jest tam organizatorem sztuki, niema tam miljonów nowych widzów, którzy mogliby otworzyć wrota teatru, by wejść tam swobodnie, którzyby mogli podtrzymać go swą uwagą i odwiedzać stale. Zagranicą jest bardzo mało teatrów subwencjonowanych przez rząd lub cieszących się jego poparciem. Nie posiadają one publiczności zorganizowanej, jak to jest u nas".

„Epoka" jest pismem niezależnem od żadnej partji czy grupy politycznej.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

LUDZIE MĘSKIEGO RODZAJU

W trzecim tomie swego pięcioksięgu*) wprowadza Kaden czytelnika w sam środek „byków, wołów i knurów sejmowej obory". Niektóre z tych historycznych postaci znamy już z „Czarnych Skrzydeł", inne oglądamy po raz pierwszy na stalugach Kadena. Podobniejsze jest toto raczej do karykatur Czermańskiego, niż do wizyj Matejki, niemniej jednak postacie niektórych leaderów wypadły posągowo, — wieje od nich Historją.

Z taktycznych metod Bandrowskiego najciekawiej przedstawiają się jego przemilczenia. Tak więc ani słowa o owocnej współpracy Mieniewskiego, Bigdy i generała Barcza w 1920 roku, zwłaszcza zaś ani słowa o ludziach generała Barcza, których spora liczba przed majem 1926 r. wchodziła w skład rozmaitych stronnictw opisywanej przez Kadena „obory sejmowej". Przemilczania te mszczą się na powieści, gdyż skutkiem tego nie można uważać jej za wierny obraz tworzenia się państwowości, ani nawet za epopeję czy karykaturę walk partyjnych. Dzisiejsza sejmowa większość nie powstała z niczego i głęboko zastanawiającym jest faktem, iż Kaden nie przeciwstawia prowodyrom mafji sejmowładztwa chociaż kilku sylwetek z dzisiejszego obozu rządowego, zarysów postaci ludzi czujących dziś jednako, mimo, iż ścierali się ze sobą, jak belki i cegły niesione przez mętny prąd partyjnictwa.

Dwóch moich znajomych, zresztą praktykujących sanatorów, pokłóciło się o... Strzęgorza. Jeden z nich dostrzegał pod tym kryptonimem generała X, członka B. B. W. R., natomiast drugi upierał się, że Strzęgorz — to minister Y, również sanacyjny dostojnik. Starałem się tym panom wytłumaczyć ich pomyłkę, na nic się to jednak nie zdało. Zachodzi pytanie, czy dla większości czytelników Kadena postać Strzęgorza nie stanie się, wskutek wielu podobieństw, synonimem „sanatora". Byłby to objaw przykry zapewne sercu autora, takie doszukiwanie się podobieństw między tem, co Kaden potępia, a tem, czemu służy.

Porzućmy jednak niedomówienia autora i qui pro quo z nich wynikające, — może następne tomy wyjaśnią niewtajemniczonym czytelnikom ich dotychczasowe wątpliwości.

Możnaby postawić autorowi jako zarzut, że „Grunt" dłuży się i że za nieciekawe a powtarzające się raz-po-raz opisy obżarstwa posłów, nie ich wini czytelnik, lecz autora. Motywy zszywania tego tomu z „Czarnemi Skrzydłami" także nie należą do najlepszych.

Mimo wszelkie „ale", w porównaniu z „Czarnemi Skrzydłami", nie znamionuje „Gruntu" rzekome obniżenie poziomu, co najniesłuszniej zarzucają Kadenowi jego niektórzy przeciwnicy. Oczywiście, że „Czarne Skrzydła" bardziej brały czytelnika, zasługa to jednak raczej „egzotyzmu" samego środowiska, śród którego rozgrywała się akcja. „Grunt" jest artystycznie wcale nie mniej mocny, ma swoje miejsca wręcz wspaniałe (przyjazd Kozy do sejmu, Bigda i Biskup, wędrówka Bigdy z Deptułą po mieście, ostat[illegible] dwa rozdziały) — nie należy przytem zapominać, że tom ten nie jest całością, lecz środkowem z ogniw pięcioksięgu, oraz, że nie działanie jest jego treścią, lecz przygotowanie czegoś, co w następnych tomach dziać się będzie.

Trudno mi powiedzieć cośkolwiek o podobieństwie Kadenowych portretów do ich modeli. Bardzo być może, że podobieństwo jest niewielkie, niemniej jednak nawet jako twory w dużej mierze fantazji autora, — Bigda, Mieniewscy i Koza, Lachowski, Deptuła i Strzęgorz, to „ludzie męskiego rodzaju", cały oddział ludzi męskiego rodzaju w tej kobiecej aż do mdłości literaturze naszej współczesnej.

Businessmen'i i conquistatorzy, macherzy i cwaniaki naszej państwowości, niechaj znikną na chwilę jak maski i odzienie, byśmy podziwiać mogli podkład, tworzywo, treść każdej z osób i wszystkich razem. Ożywione są one i między sobą się różnią przedewszystkiem stopniem, kierunkiem, nasileniem *płciowości.*

W walce każdego przeciw wszystkim, jaką jest życie i jaką w książce Kadena przedstawia Sejm, Deptuła największe ma, zda się, szanse zwycięstwa, czytelnik bowiem odczuwa w nim nieprzebrane bogactwo sił. Wszakże Deptuła nie opanowany jest, rozpustą na wsze strony tryskający, gdy oto Bigda ze wstrzemięźliwości czerpie swą sugestywną moc, — żona warjatka i ani jednej kochanki. Ani jednej? — owszem, jedna w projekcie.

Zbliżanie się Kostryniowej do Bigdy wywołuje w czytelniku przeczucie, że oto Dalila idzie ciąć grzywę Samsonową, idzie pozbawić przyszłego kochanka mocy wyhodowanej w samotności. Zarówno Bigda, jak Deptuła, czują treść tego zbliżania się Stanisławy. Bigda usiłuje się bronić. Następny tom pokaże, czy ulegnie pokusie, czy też ostoi się niewzruszenie „Jezusik chłopski".

Kaden, najznakomitszy śród naszych pisarzy psycholog płciowości, każdą postać swej powieści odmiennie obdarował, — jednej ujął, innej przydał siły życiu radę, jednej nadał taki ton, a drugiej inny. Ztąd też nie można oceniać tego tomu, jedynie jako satyrę polityczną, czy jako paszkwil. Jest to dzieło sztuki wysokiej miary, szczególną zaś jego wartością są owi właśnie wyjątkowo plastyczni, żywi i poruszający się logicznie ludzie rodzaju męskiego.

Jerzy Życieński

»POCZTA«*)

Książeczka ta, bardzo wdzięczna, o mądrze pomyślanej i logicznie przeprowadzonej koncepcji, o budowie przejrzystej, dostosowanej do psychiki dziecięcej, jest wśród powodzi naszych powiastek, historyjek i bajeczek dla dzieci, czemś bodaj jedynem w swej odrębności. Ze względu na temat, układ, poziom i tendencję można ją nazwać poprostu wzorową: uroczą jako zabawa, ciekawą i pożyteczną, jako nauka.

Ustaliło się u nas niestety, że lektura dla dzieci winna posiadać w pierwszym rzędzie dwa pierwiast-

*) Juljusz Kaden-Bandrowski: „Mateusz Bigda — Grunt". Warszawa, 1933. Tow. Wydawn. „Rój".

*) Stefan Themerson: „Poczta". Rysunki Franciszki Themerson. Wydawn. „Płomyka". Warszawa 1933.

ki: pierwszy z nich — to sens moralny, który w praktyce wykrzywia się zwykle w nudne moralizatorstwo, płaski konwencjonalizm i ckliwy sentyment; drugim jest operowanie światem cudów, niewidzialnych szat, czarodziejskich stoliczków, zaklętych zwierząt, lub dobrych wróżek. Jest to jedno wielkie nieporozumienie. Wiadomo, że dzieci moralizatorstwa nie znoszą, a ze świata baśni szybko wyrastają. Wrażliwe i chłonne w stosunku do otaczającego je świata zjawisk, szybko konfrontują lekturę z rzeczywistością i odwracają się z niechęcią od wykrytego fałszu. Imponują im raczej zwycięstwa osiągnięte własnym czynem, niż łatwe spełnienia przy pomocy cudownych sił. Zamiast cudów baśni coraz bardziej pochłania je najpotężniejszy cud — cud samego życia, narastającego wokoło ogromem wydarzeń, otwierającego szerokie perspektywy. Zachwyca ich nietylko powierzchnia życia, ale gorączkowo chcą poznać jego mechanizm; tak, „niegrzeczne" dziecko, może przyszły wynalazca, rozbija zabawkę, pragnąc za wszelką cenę przekonać się, co jest w niej, w środku.

Najważniejszem może zadaniem pisarza, który pisze dla dzieci, jest pomóc im w widzeniu rzeczywistości, pokazać im piękno, wagę, wielkość i pożytek codziennej pracy, uwypuklić związek między szarą powszedniością, a najwyższemi ideami, oświetlić drogę wiecznego postępu, osiąganego wśród walk, cierpień i wysiłków pokoleń.

Zadanie to doskonale spełnia na swym odcinku książeczka Stefana Themersona, opowiadająca bardzo prosto, przystępnie, obrazowo i przekonywująco historję pokonywania przez człowieka przestrzeni i czasu, dzieje budowania mostu międzyludzkiego przymierza, opasywania kuli ziemskiej węzłem wieści i pomocy.

Od pierwotnego nawoływania się własnym głosem, poprzez konnych wysłańców, dyliżanse jadące miesiącami i karetki pocztowe jadące tygodniami, aż do samolotu, aż do radjotelegrafu — oto etapy pracy, o której opowiada ta książeczka.

Na specjalną uwagę zasługuje piękny język, mocny a pełen polotu, melodyjny i rytmiczny, język udzielający zdawałoby się tętna żywej krwi metalowym kadłubom samolotów, śpiewający żywym głosem maszyn o zwycięstwie człowieka.

Rysunki p. Themersonowej — prześliczne.

J. B.

QUO-VADIS — U. S. A?

Knickerbocker cieszy się opinją sumiennego reportera. Czytelników jego dwutomowej relacji o Sowietach p. t. „Czerwony handel grozi" i „Walka z czerwonym handlem" zdziwi zafałszowana treść ostatniej książki „Quo Vadis — Europa?" Bezpodstawne i tendencyjne naświetlenie pewnych spraw politycznych i socjalnych, zwłaszcza kwestji bezrobocia podcina zaufanie do autora. Uszminkowane na różowo, upiększone oblicze dziesięciu stolic, których szlakiem wędrował Knickerbocker, wystawia niepochlebne świadectwo rzetelności i objektywizmowi poważnego sprawozdawcy. Pomniejsza wagę pomyślnych horoskopów na przyszłość.

Nim zorjentujemy się w materjale, który posłużył za przesłankę bezspornego optymizmu; nim odsłonimy tragikomiczną ironję dalszej depresji, która w ciągu kilku miesięcy złożyła między rupiecie przeszłości — poczynania, którym Knickerbocker nadaje przełomowe znaczenie, należy wprzódy wyświetlić zagadnienie najważniejsze i najciekawsze, którego reportaż nie porusza.

Książka napisana jest pod znakiem wierzyciela. Ale potężny wierzyciel zamorski jest w relacjach tych nieobecny. Rzuca jedynie groźny cień i określa stanowisko, z którego autor prowadzi wywiad z Europą. Optymistyczna odpowiedź na pytanie o przyszłości kontynentu nie potrąca ani jednem słowem o czynnik, który jest nierozerwalnie sprzężony z wszelkiemi próbami naprawy. Ameryka jest nieobecna. Stwarza to lukę o zasadniczem znaczeniu. Wzajemne ustosunkowanie się kontynentu i Stanów Zjednoczonych ma zasadniczą wagę dla obecnego układu międzynarodowej gospodarki. Stany są dla Europy źródłem wielu niezbędnych surowców. Przywóz amerykański jest dla kontynentu konieczny, podczas gdy Stany bez dostaw europejskich mogą doskonale się obejść i... obywają.

Wykorzystując taki stan rzeczy, Stany prowadziły podczas powojennej „prosperity" politykę światowej ekspansji wysokokapitalistycznej. Wojna osłabiła przeciwnika europejskiego. Dodatnie saldo obrotu handlowego ze Starym Światem zasilone zostało znacznemi wierzytelnościami politycznemi i prywatnemi. Wkrótce poczęły się ujawniać smutne następstwa rosnącej przewagi Stanów, osiągając dobitny wyraz w grudniowym dramacie odmowy spłat. Ameryka stawała coraz silniejszą stopą w ekonomicznem życiu Europy, nie pozwalając spłacać długów w towarze.

Rozbieżność interesów zaznaczyła się też na innym froncie. Wyeliminowanie konkurencji europejskiej z własnego rynku pozwoliło Ameryce — przy wysokich cenach wewnętrznych — stosować silny dumping w krajach pozaeuropejskich.

Kryzys światowy pokrzyżował ambitne zamiary. Klęska „pod-konsumcji" pogłębiła kryzys nadprodukcji. Życie ekonomiczne poczęło nabrzmiewać groźnemi paradoksami. Wyłoniło się widmo bankructwa Europy. Ameryka pospieszyła na odsiecz zagrożonym kredytom w Niemczech, ogłaszając hooverskie moratorjum. Zrównoważenie wymiany między kontynentem, a zamorskim wierzycielem pozostało nadal sprawą otwartą. Ze zwycięstwem demokratów i wyborem Roosevelta łączy się często nadzieje na obniżenie barjer celnych. Zamiar taki leży niewątpliwie w programie demokratów, ale jeśli Stany uczynią swoje taryfy prohibicyjne przedmiotem rokowań — to przedewszystkiem i jedynie w tym celu, aby ratować *własny* eksport. Ciężar gatunkowy Stanów Zjednoczonych, jako negocjatora, wyklucza wszelką poprawę obrotów na korzyść Europy. Obecnie sprawy te wogóle tak daleko jeszcze się nie posunęły. Punkt ciężkości spoczywa dziś w sferze pieniężnej. Rozgrywka grudniowa rozbiła niespodzianie Europę na dwa obozy — płacących i niepłacących. Sześciu dłużników nie uiściło należnych rat. Refleks polityczny grudniowego dramatu podważył losy umów lozańskich. Płacąc dług, Anglja niedwuznacznie dała do

zrozumienia, że będzie żądała od swych europejskich dłużników wznowienia spłat. Odmowa Stanów odkłada automatycznie ratyfikację układu w Lozannie i formalnie wierzyciele mają prawo przekreślić to wszystko, co z takim trudem zostało tam ułożone. Ostateczną konsekwencją byłoby reaktywowanie... planu Younga, który Niemcy uważają za całkowicie pogrzebany. Takie są uzasadnione prawnie perspektywy rozgrywki dłużniczej.

Ale zwycięstwo tezy europejskiej, t. zn. redukcja, a nawet przekreślenie należności wojennych nie rozwiązałoby bynajmniej zagadnienia euro-amerykańskiego, które jest kluczowe dla stosunków międzynarodowych! Nawet najbardziej kompromisowo usposobieni Amerykanie, jak demokrata Smith — projektują ewentualne zrzeczenie się wierzytelności wojennych wzamian za specjalne ułatwienia dla amerykańskiego wywozu. Za stawkę długów zażąda Ameryka otwartego rynku Europy. Wzmożona ekspancja wywozowa Stanów wyłoniłaby wkrótce te same trudności transferowe, które są obecnie wynikem zadłużenia wojennego.

Rozwiązanie — i to bynajmniej bez reszty, a raczej na pewien tylko czas — leży chyba na wypadkowej całego szeregu czynników: barjer celnych, długów i wydatków na zbrojenia, które dyplomacja amerykańska pragnie zredukować... w Europie. Nieustępliwe narazie stanowisko Ameryki wzmacnia pozycje tych ekonomistów i polityków, którzy w bankructwie Europy widzą jedyną skuteczną odpowiedź na upór yankesów.

Tak wygląda w silnym skrócie zarys kwestji europejsko-amerykańskiej; jej nieobecność w reportażu Knickerbockera stwarza znaczną wyrwę w całokształcie stosunków, które autor opisuje. „Quo Vadis — Europa?"

***

A teraz niektóre wrażenia autora z wędrówki, której trasa wyniosła 6.500 km.

Węgry — Budapeszt. „Komunistów wiesza się. Wojsko jest pewne". Bezrobotni węgierscy są „zdrowi, opaleni, mają uśmiech na twarzy". Zresztą nędza bezrobotnych Budapesztu nie jest groźna. „Mogą zorganizować rozruchy, ale nie rewolucję". Zbiornik nędzy kontynentu — zagłębie naddunajskie nie może mieć wpływu na ustrój dzisiejszy. Węgry, Rumunja, Jugosławja i Bułgarja nie znają pomocy dla pozbawionych pracy. Pozostawia się ich własnemu losowi. „Nikomu —prócz nich — to nie zaszkodzi, dopóki wojsko i policja są dobrze odżywiane". Istnieje więc „dla" bezrobotnych — syte i ciepło odziane wojsko i policja. Przeszło sześćset tysięcy szeregowców i oficerów wojsk regularnych.

Rzym. „Nastrój panuje wyborny". I znów oko reportera widzi bezrobotnych „uśmiechniętych i pogodnych". Na czele rzesz robotniczych stoi Edmundo Rossoni, szampion włoskiego świata pracy, podsekretarz stanu, prawa ręka Benita. Knickerbocker zachwycony jest jego energją i szczerością.

Dobroczyńca włoskich robotników uzasadnia faszystowski zakaz strajków: „Robotnicy są zupełnie wolni. Mogą walczyć i walczą, ale nie mogą, nie mają prawa być szaleńcami — a *strajk jest poprostu szaleństwem*". Wynik tej praktycznej teorji jest jasny: płace we Włoszech uległy od 1929 r. — 40% zniżce. Tego pokroju poglądy każą nam raczej wierzyć w to, czemu ich wyznawcy — Rossoni czy Mussolini — starają się zaprzeczyć, a więc, że faszyzm jest ubezpieczeniem kapitalisty od robotnika i kaftanem żelaznym dla świata pracy, który steroryzowany kłania się w pas z biernością trupa. Bo chyba tylko ta dyscyplina tłomaczy spoczywające w pokoju Rossoniego tysiące depesz, podziękowań i powinszowań od „ciężko pracujących ludzi po wsiach, w górach".

Il Duce traktuje kryzys jak wojnę. Prowadzi z nim walkę na koszt narodu. Włosi mają wiarę. Zresztą — co Knickerbocker przyznaje — *muszą* milczeć i darzyć zaufaniem dyktatora.

Paryż. Francuzi doskonale się odżywiają. Wierzą w traktaty. Armaty i złoto są jednak bardziej namacalne. Pierwszą linją defensywną Francji jest wojsko, drugą — złoto.

Berlin. We wrażeniach berlińskich występują na pierwszy plan dwie postacie — v. Papen i Grzegorz Strasser. Knickerbocker wyraża — nazwijmy tę krótkowzroczność po imieniu — bezmyślny zachwyt dla planu Papena, który nazywa genjalnym! Wystarczyło niespełna miesiąca jego realizacji — aby runął. Papenowskie nakręcenie konjunktury posłużyło jedynie za pretekst do obniżki płac i podważenia umów zbiorowych, na co odpowiedziała skolei klasa robotnicza masową falą strajków.

***

Panoramę reportażu zamyka charakterystyczny dla przesłanek optynizmu autora rozdział końcowy. Knickerbocker przytacza cyfrę 40 miljonów bezrobotnych Europy i dodaje „bezczyny mężczyzna jest w Europie wyjątkiem". Jedna dziesiąta, ludności kontynentu — to w rozumieniu autora wyjątki!

Ta znamienna, cyniczna prawie definicja czterdziestomiljonowej rzeszy nędzarzy ujawnia dopiero przesłanki optynizmu Knickerbockera, który widział w Europie zdrowych, opalonych bezrobotnych i wierzy w podniesieniu kontynentu, dopóki „narzędziami autorytetów rządzących są karabiny maszynowe", a wojsko i policja są dobrze odżywiane.

Podzielamy raczej — po takiej dawce optymizmu — zdanie, które usłyszał autor od kelnera restauracji brukselskiej: „Niema już sensu łatać. Spodnie gospodarcze świata są zużyte. Musimy mieć nową parę".

Józef Szpecht

„Epoka" jest posterunkiem ideowym, który służy najwznioślejszym hasłom naszych czasów.

ZAMACH NA USTAWODAWSTWO PRACY

Wielkiem niebezpieczeństwem dla świata pracy jest Projekt Komisji Kodyfikacyjnej, przyjęty w drugiem czytaniu.

Polska niepodległa wytworzyła kompleks przepisów prawnych, składających się na samodzielny „kodeks pracy" — że wymienimy tylko ważniejsze ustawy i rozporządzenia: o czasie pracy z r. 1919, o urlopach z r. 1922, o inspekcji pracy z r. 1927, wreszcie — o najmie pracy i o sądach pracy z r. 1928. Jakkolwiek i te, dość obszerne, uprawnienia nie zadowoliły całkowicie sfer pracowniczych, pozostawiając poważne luki w postaci braku ustaw o umowach zbiorowych, o przymusowem rozjemstwie, o ochronie działaczów zawodowych i t. p., — to jednak stanowiły one potężny bastjon obronny wobec zakusów pracodawców.

W ten sposób prawodawcy polscy, dążyli do zadośćuczynienia art. 102 Konstytucji, który głosi: *„Praca, jako główna podstawa bogactwa Rzeczypospolitej, pozostawać ma pod szczególną ochroną Państwa. Każdy obywatel ma prawo do opieki Państwa nad jego pracą".*

Autorzy Projektu Komisji Kodyfikacyjnej, pp. profesorowie Ernest Till i Roman Longchamps de Berier daleko odbiegli nietylko od litery, ale i od ducha polskiego ustawodawstwa pracy.

**
*

Już na wstępie o umowie o pracę w Projekcie K. K. uderza brak kardynalnego przepisu, stanowiącego główną wytyczną rozporządzeń o umowie o pracę z r. 1928: „wszelkie postanowienia umów, regulujące warunki lub stosunek pracy *mniej korzystnie,* aniżeli czyni to rozporządzenie, *są nieważne*". Wiadomo, czem jest w stosunkach pracowniczych umowa indywidualna, gdy pracownik, zdany całkowicie na łaskę i niełaskę pracodawcy, skwapliwie zaakceptuje wszelkie, najbardziej krzywdzące go warunki, byle uzyskać *jakąkolwiek* pracę za jakiekolwiek wynagrodzenie. Słusznie przeto prawo obowiązujące poczyniło zastrzeżenie, wynikające z art. 6 Kodeksu Cywilnego Polskiego („nie można przez prywatne umowy ubliżać prawom, które do porządku publicznego i dobrych obyczajów zmierzają"), i biorąc prawo pracy pod opiekuńcze skrzydła dobrych obyczajów i porządku publicznego, zgóry rozgrzeszyło pracownika od wszystkich „dobrowolnie" na się przyjętych umów, mniej korzystnie kształtujących jego uprawnienia, aniżeli czyni to prawo.

Brak takiego przepisu w Projekcie K. K. (nieważność zrzeczenia się przez pracownika uprawnień, wynikających z przepisów ustawy, przewidziana jest tylko w trzech, zupełnie zresztą drobnych przypadkach), zgóry przekreśla „dobrodziejstwo" nawet tych skrawków praw pracowniczych, które przyszły Kodeks Cywilny zamierza utrzymać w mocy. Wystarczy bowiem, by pracodawca angażując pracownika, lub nawet w czasie zatrudnienia, zachowując odpowiednie czasokresy wypowiedzenia, zażądał odeń zrzeczenia się uprawnień, zagwarantowanych przez Projekt K. K. a zrzeczenie się to będzie ważne i nie będzie podlegało uchyleniu przez sąd.

Projekt Komisji Kodyfikacyjnej głosi: „postanowienia umów o pracę, *sprzeczne* z postanowieniami układu zbiorowego, są nieważne". Więc nawet i ta, wszechstronnie okrojona indywidualna „dobrowolna" umowa staje się nieważną, skoro między pracodawcą, a związkiem lub nawet grupą pracowników zawarta zostanie umowa zbiorowa, obejmująca przepisy sprzeczne z umową indywidualną. I znów p. p. kodyfikatorzy nie mówią o warunkach *mniej korzystnych,* lecz tylko o *sprzecznych,* które mogą być nawet bardziej dla pracownika korzystne, ale ulegną unieważnieniu.

**
*

Obejmując pracę, pracownik w większości wypadków przechodzi przez czyściec „okresu próbnego". Okres ten daje pracodawcy możność zorjentowania się, czy pracownik nadaje się do wykonywania funkcyj, które mu poruczono. W czasie próbnym przysługuje przeto pracodawcy prawo rozwiązania stosunku służbowego w trybie ułatwionym i krótszym od normalnego. Zrozumiała jest tendencja do jaknajkrótszego oznaczania tego czasokresu niepewności, gdy niewiadomo właściwie, czy stosunek umowy o pracę istnieje, czy też dopiero ma zaistnieć w przyszłości. Obecnie obowiązujące prawo ogranicza okres próbny najdalej do dni siedmiu (dla pracowników fizycznych), lub do trzech miesięcy (dla pracowników umysłowych). W tym okresie mogą obie strony rozwiązać stosunek najmu pracy: fizycznej — każdej chwili, umysłowej — za dwutygodniowem wypowiedzeniem.

Jakże niefortunnie znów reguluje okres próbny Projekt Komisji Kodyfikacyjnej: „stosunek zawarty na próbę, może być w *pierwszym miesiącu* rozwiązany przez każdą ze stron każdego czasu za trzydniowem wypowiedzeniem", — z czego wynika tylko, że *w pierwszym* miesiącu próbnego okresu obowiązuje szczególnie krótki termin wypowiedzenia. Ale jak długo może trwać sam okres próbny, gdy pracownik nie posiada pełni praw (nie jest etatowym, nie należy do kas samopomocowych, nie zyskuje praw wysługi lat i t. p.), o tem projekt milczy, a określanie „w *pierwszym* miesiącu" pozwala domyślać się, że tych „próbnych" miesięcy może być znacznie więcej. Lata całe upłynąć mogą, a okres „próbny" trwać będzie dla pracownika stale. Projekt nie nakłada bowiem tamy, istniejącej w prawie obowiązującem.

Coprawda, autorzy Projektu w uzasadnieniu tego przepisu dość naiwnie powiadają: „Co do stosunku, zawiązanego na próbę, wypowiedzenie w pierwszym miesiącu odpowiada zwyczajnie (?) zamiarowi stron. Z reguły miesiąc czasu jest dostateczny do próby. Jeżeli w tym czasie nie rozwiąże żadna strona, *przypuszczać można,* że obie są zadowolone, a stosunek *można uważać* za zawarty na czas nieokreślony", — ale trzeba było takie rozumowanie ująć w normę prawną i powiedzieć wyraźnie, że okres próbny trwać może najdłużej miesiąc! Przepis prawa musi być jasny, przejrzysty, nie pozostawiający miejsca żadnym wątpliwościom. Luka w określeniu końcowego momentu czasokresu próbnego nie da się zastąpić luźnem rozumowaniem na temat tego, co „przypuszczać można, lub „można uważać".

(Dok. nast.) *Prawnik*

POWRÓT*)

Jabłońska, jak to Jabłońska.

Na głowie stawała, żeby ich wszystkich zgonić na ten wcześniejszy obiad, w połowie komitetowy, a w połowie w domu dogotowany po swojemu, prawie z niczego. Żeby ich wszystkich, obrażonych, że się przed czasem musieli zejść obdzielić jak to ona tylko potrafiła — i jeszcze na kolację coś schować. Szurgała garnkami i nawet ich nie pomyła, a to wszystko dlatego, że się dowiedziała od Kozłowskiej o tym Wydziale na Pradze.

Bezrobotny Jabłoński zjadł co mu dała i siedział milczący, olbrzymi i jakby cały zmiękły od bezczynności, zmożony nią więcej niż najcięższą pracą. Edek wiecznie głodny, połykał swoje i łypał okiem jakby tu jeszcze co dostać. Ale Władka wręcz kpiła z pośpiechu matki.

— Najgorzej, jak tam na matkę czekają — zaczęła — ale umilkła w nagłem widzeniu nowej kiecki, albo pantofli, bo stare jej z nóg zlatały.

Jabłońska nie słuchała, milcząca, zacięta, cała już wydana nadziei zdobycia czegoś dla tych trojga, zawsze głodnych, obdartych i złych. Chwyciła szal na głowę i leciała na tramwaj, krótszą drogą przez pole — i aż się zdziwiła, że to taka już zima po tamtych pięknych ciepłych dniach. Zaraz trzeba będzie starać się o węgiel z Magistratu, latać, prosić, w ogonku stać...

Leciała na tramwaj, ale nie wsiadła, bo w ostatniej chwili zrobiło jej się żal pieniędzy. Szła piechotą i przyszła przed samym zamknięciem i jeszcze straciła czas na szukanie, bo powiedziano jej, że w podwórzu, a tam były dwa podwórza, a w końcu okazało się że wejście z bramy. W poczekalni obejrzała uważnie czekających, przeważnie kobiety. Niektóre były porządnie ubrane, widać było po nich, że dopiero od niedawna są bez pracy, – więc odrazu zgryzła się po swojemu, że Kozłowska nie powiedziała jej o tym Wydziale wcześniej, jej co już tak dawno...

W biurze urzędniczka przy stoliku koło samych drzwi — wypytała ją o wszystko, uważnie i chętnie — owszem, nie można powiedzieć — ale nie powiedziała nic — widocznie to nie od niej zależało — tylko odesłała ją do drugiej, starszej, przy innym stoliku.

Jabłońska czuła, że niezbyt dobrze jest z jej sprawą i tylko tę jedną miała pociechę, że nie straciła próżno pieniędzy na tramwaj w razie gdyby tu nic nie wyszło...

A wydawało się, że nic nie wyjdzie, raz dlatego, że brała różne tam rzeczy z innych Wydziałów, a po drugie, że miała dzieci dorosłe, tu zaś właśnie wydawano wszystko na małe.

— Przecież każden wie, że z dorosłemi bez pracy to daleko ciężej, niż z małemi — rozłościła się nagle ale powstrzymała się w jednej chwili i rozsądnie z rozmysłem opowiedziała co i jak, tak, że w końcu wyszło dobrze.

— Najwięcej rozchodzi mi się o ten kwit odzieżowy — mówiła całkiem już udobruchana — już widziała Władkę w nowej kiecce, rozchmurzoną z taką twarzą jak to dawniej.

*) Fragment z powieści „Ci ludzie", która ukaże się niebawem nakładem Tow. Wydawn. „Rój".

I wszystko byłoby dobrze, aż tu nagle te pogadanki.

Nielekko się żyło Jabłońskiej, to pewne. Nie z rozkoszy jej wąskie, długie usta bez warg układały się w nieprzychylny i gorzki kształt samej troski na twarzy żółtej jak cytryna i tak wymaglowanej przez życie jak przez najcięższe kamienie magli kołowej przy ulicy Mlądzkiej. I wszystko zawsze potrafiła znieść i choroby i awantury w domu i wieczną biedę i ponad wszystko gorsze bezrobocie. A cóż jej się nagle o te pogadanki tak „rozeszło"? Bo przecież nietylko to było wpisane na szarej legitymacji z Wydziału, legitymacji Nr. 203/A86. Że trzeba płacić miesięczne składki? To nic. To się opłaci jeżeli się dostanie kwit odzieżowy i dodatek na mieszkanie. Że trzeba chodzić na kurs szycia i „musowo" robić pantofle sznurkowe? To już gorzej, zabiera czas, a przecież bezrobotnego dnia nie starczy, żeby wszystko wylatać po tych wszystkich Komitetach, Sekcjach i Wydziałach. Ale niech będą i pantofle sznurkowe, może się przydadzą dla Władki. Cerować? Gdzie ona tam będzie cerować? oczy ją bolą, a przy tem „nie honor" jej, Jabłońskiej, kobiecie „już w latach", siedzieć tak jak jakiejś dziewczynie w szwalni.

Trudno. Pani mówi, że przecież to wszystko dla nich, dla bezrobotnych, a nie dla Wydziału: i pantofle i nauka szycia, i to głupie cerowanie. Pewnie. Ale niechby już tak wszystkiego tego nie robili dla niej. Niech już jej tak nie wychowują, niech się tak nią nie zajmują. Niech jej tylko dadzą zarobić, to ona sama już się sobą zajmie....

No trudno, wszystko to się znosi, jak niema co do garnka włożyć. Ale te ich świetlice, ale te ich — najgorsze — pogadanki. Śmiać się jej chce: na bolących nogach z żylakami lecieć co tydzień na koniec świata, żeby słuchać o higjenie, o porządkach, o gotowaniu... o gotowaniu. Znowu wszystko się w niej zakotłowało.

— A niechby kto z nich potrafił tak troje ludzi przeżywić z niczego jak ja, że wogóle po świecie chodzą, jeszcze nie pozdychali.

Sama nie wiedziała jak i kiedy do tramwaju wsiadła. Ale nim dojechała do swego przystanku „na żądanie" spokorniała już tak, że gotowa była już nawet na pogadanki, byle ten kwit odzieżowy dla Władki dostać.

— Do łba mi nikt nie zajrzy, można siedzieć, myśleć o swojem i tych głupstw nie słuchać — uspokoiła się do reszty i rozejrzała po ludziach — gdzie to ona dopiero widziała tamtą przy drzwiach, niedużą, ani ładną ani brzydką?

Za czarnem oknem zamajaczył przy jednej latarni znajomy węgieł domu, kawał parkanu. Wysiadać.

Tamta znowu stała przed nią, wyglądając na czarne pole — no, wysiada pani, czy nie?

Więc tamta wysiadła, bo musiała przecież kiedyś wysiąść, ale stojąc pod latarnią oglądała się na innych. Wysiadło trochę ludzi, ale odrazu gdzieś poznikali jakby się rozpłynęli w ciemnych zakamarkach przedmieścia. Została tylko ta jedna wysoka baba z tramwaju i podeszła do niej.

— Pani się boi iść sama na kolonję? Pójdziemy razem. Przez pole będzie bliżej.

Więc zestrachana Anielcia podreptała pokornie nocnem polem za Jabłońską, wielką babą w kraciastej chustce. Wolałaby drogę pod wierzbami ale poszłaby nawet przez piekło, żeby tylko nie być samej.

— Pani się nie boi, że tu tak pusto?

Jabłońska wzruszyła ramionami.

— Czego? — spytała szorsko.

Anielcia nie odpowiedziała czego, a z ciemności wyłonił się drab w kaszkiecie.

W Anielci stanęło serce. Drab poszeptał z Jabłońską i poszedł dalej przez ciemność w stronę oświetlonego przystanku.

— Tylko nie siedź długo, Eduś — krzyknęła tamta za nim.

Anielci zrobiło się miło i bezpiecznie, choć serce jeszcze jej łomotało. Przyjrzała się Jabłońskiej w nagłem poczuciu wdzięczności. Ale ona ją przecież zna z Komitetu? Tamta też się przyglądała, i w końcu rzekła:

— Ja panią dzisiaj widziałam w Wydziale na Pradze, pani pracuje pierwsza przy drzwiach.

— Dziś, tak, tak — ucieszyła się Anielcia.

I pożegnały się przy drewniaku nie dochodząc do samej kolonji.

Pani Siemiątkowska czekała z herbatą trochę niespokojna.

— Choć od czasu jak ten Pawłowski jest nocnym stróżem, to nawet o te powroty czegoś mniej się boję — mówiła mocując się z szeleszczącym pęcherzem, na nienapoczętym słoiłu konfitur z dereniu i mrużąc jedno oko od dymu trzymanego w ustach papierosa.

— Chcesz? — podsunęła słoik córce, zbierając nożem z obrusa rubinową kroplę syropu i zaraz wróciła do tamtej sprawy.

— Jak się wraca tak późno, to najlepiej drewniak omijać, ci z drewniaka to podobno najgorsi.

Ale Anielcia żachnęła się.

— Ci z drewniaka? To zupełnie porządni ludzie.

— Skąd wiesz?

— Wracałam teraz z nimi z tramwaju.

Helena Boguszewska

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Dwa wielkie państwa — Francja i Niemcy — przechodzą ciężki kryzys polityczny, którego normalnym wyrazem jest zmiana gabinetu.

Przesilenia te są tak poważne, że nie „otworzono" ich odrazu formalnie, choć faktycznie istniały. Zarówno gabinet Paul Boncour'a, jak kanclerza Schleichera trwały na swoich stanowiskach, ale mało kto wierzył w ich trwałość.

Przebieg i rozwiązanie tych dwóch kryzysów mają pewne cechy wspólne, pochodzące z ogólnego stanu umysłów, a przedewszystkiem ze stanu gospodarczego świata, ale posiadają też cechy zupełnie różne, wynikające z różnych ustrojów politycznych.

We Francji rozgrywa się na oczach całej opinji publicznej, przy akompanjamencie i udziale wszystkich odcieni myśli, wszystkich kierunków i wszelakich organizacji społecznych walka o najlepsze rozstrzygnięcie zagadnień państwa współczesnego. Rząd pp. Paul-Boncour'a i Chèron'a przyszedł do izby z projektem uzdrowienia budżetu, opartym na dwojakiego rodzaju oszczędnościach: w płacy pracowników i w wydatkach na zbrojenia.

Czynniki prawicy i centrum uznają tylko ten pierwszy rodzaj oszczędności, lewica z socjalistami na czele chciałaby zamiast paljatywu, który ratuje dany budżet, wprowadzić do gospodarki państwowej pewne zasady, zabezpieczające na przyszłość od miljardowych deficytów.

Spór toczy się otwarcie — w komisjach Izby deputowanych i w prasie. Rząd upiera się przy pewnych zasadach (a więc przedewszystkiem przy równowadze i realności budżetu i nie zaciąganiu pożyczek), dopuszcza jednak dyskusję nad swoim projektem ocalenia państwa, nie pretendując do monopolu, w tej sprawie.

Główne stronnictwo prorządowe — radykałowie społeczni — w przeważnej części rozważają chętnie kontr-projekt socjalistyczny. Wyłania się z tego pewien kompromis, który być może — nikogo z walczących nie zadowolni, a nawet wywoła burzę na prawicy, ale za to utrzyma równowagę sił twórczych i żywotnych narodu francuskiego.

Burczy „Le Temps", twierdząc, że „radzić się z pracownikami państwowemi o budżecie, to obniżać autorytet państwa". Skarży się „Journal des Debats" że „oszczędzając urzędników, p. Cheron osłabia siłę obrony narodowej", a p. Kerilis z „L'Echo de Paris" protestuje przeciw „gnębieniu elity dla dogodzenia masie drobnych pracowników."

Jednocześnie z drugiej strony Leon Blum powtarza niezmiennie w „Populaire", że „nie uposażenia, a wydatki wojskowe trzeba redukować". Wtóruje mu chór głosów pracowniczych: „La Tribune des Fonctionnaires" pisze: „Trzeba atakować nie uposażenia, a nadużycia fiskalne", organ nauczycieli „L'Ecole Liberatrice" popiera tę kompanję, a organy pocztowiarzy i kolejarzy dodają, że uposażenie tych pracowników we Francji są niższe niż gdzieindziej; w cyfrach porównawczych wypada na kolejarza francuskiego — 12, 05, podczas gdy na belgijskiego — 21, 70, a na angielskiego — 19, 77 jednostek płacy od kilometra sieci. ci.

Na tle tego chóru pełnego przeciwieństw i dysonansów, rozlegają się głosy zniecierpliwienia: senjorzy otwierając parlament, a więc p. Grousseau w izbie deputowanych, a p. Jeannenay w Senacie, dali wyraz temu zdenerwowaniu w przemówieniach. P. Grousseau oświadczył, że czas mówić o reformie konstytucji, p. Jeannenay napomknął o konieczności silnej władzy.

Oto obraz atmosfery politycznej, która składa się na dzisiejszy kryzys polityczny we Francji: jednym z jego etapów jest upadek gabinetu Paul Boncour'a.

Jedno jest w tej mozajce różnolitej wspólne: wszyscy szukają wyjścia na drodze prawnej. Czy dojdzie do władzy rząd kompromisu, skierowanego na prawo, czy też przeciwnie przyjdą rządy kartelu, lewicowego, w każdym razie ustrój parlamentarno-republikański Francji wyjdzie niezachwiany.

Są przewidywania, iż rządów kartelu lewicy Francja nie zniesie, że będzie to tylko eksperyment, po którym przyjdzie do władzy rząd jedności narodowej i ocalenia finansów, a jako głowa tego przyszłego rządu jest wymieniany b. prezydent Doumergue.

Gdyby i tak było, nie zmieni to w niczem zasadniczej tezy. Wszystko jednak

raczej przemawia za tem, że ster rządzący we Francji przesunie się raczej jeszcze na lewo.

**
*

Zupełnie inaczej wygląda przesilenie niemieckie: napór i atak sił reakcyjnych odsuwa ze sceny parlament. I ci, którzy atakują t. j. junkrzy i wielki przemysł, i ci, którzy są atakowani, uważają Reichstag za zło mniej lub bardziej konieczne.

Gabinet prezydjalny, tolerowany przez izby, rządzenie z pomocą dekretów — oto faktyczny ustrój polityczny Rzeszy. Stąd płynie przeniesienie walki o władzę w dziedzinę intryg zakulisowych z jednej strony i rozruchów ulicznych — z drugiej.

Prasa prawicowa niemiecka juz nie krępuje się. Zarówno „Kreuzzeitng", jak „Börsenzeitung" domagają się ogłoszenia „stanu kryzysu państwowego", rozwiązania Izby bez wyznaczenia wyborów, bo „poco ta komedja bezskuteczna" — pisze jedno z tych pism. Gen. Schleicher narazie zastrzegał się przeciwko tym radom, nie pochodzącym zresztą od jego bezpośrednich przyjaciół.

Właściwie spór się tam toczy tylko o to, przy kim po zawieszeniu konstytucji republikańskiej zostanie władza. Prawo stopniowo znoszone, a za czasów von Papena gruntownie pognębione, mści się na tych, którzy go nie bronili.

W takich warunkach przyszedł do władzy rząd Hitlera. Otwiera się tu nowy rozdział niemieckiego chaosu. Narazie Hitler, jako kanclerz, oświadczył, że będzie przestrzegał konstytucji, lecz zapowiedź ta nie może budzić zaufania. Najbliższa przyszłość pokaże, jak wódz bojówek, wieców i pochodów ulicznych zachowa się, jako szef rządu.

**
*

Z okazji swego 70-lecia Lloyd George udzielił licznych wywiadów. M. in. londyńska „News Chronicle" zapytała go, jak sobie wyobraża rozwój wypadków w ciągu najbliższego dziesięciolecia.

Skłonny do błyskotliwych uogólnień b. premjer W. Brytanji tak m. in. odpowiedział:

— Według mnie tylko dwaj ludzie, zdaje się, zrozumieli co dzieje się obecnie na świecie: jeden — to Mussolini drugi — Stalin. Na nieszczęście obaj dla rozstrzygnięcia problematów mają w swem rozporządzeniu niedostateczne zasoby; natomiast kraje, które naprawdę mogłyby „kontrolować świat" i posiadają odpowiednie środki, mają na czele ludzi bez pojęcia o problemacie i bez zdolności konstrukcyjnych".

Taki ostry sąd o współczesnych mężach stanu wygłosił Lloyd George.

Inni byli o nim tego samego zdania gdy był u władzy. Widocznie brak Europie nowych sił i nowych talentów.

St. Gr.

Szanowny mój i Zacny Panie Redaktorze!

Drżę na myśl, że nie zechce Pan Redaktor, z łaski swojej, zamieścić mego głosu na łamach dobrego pisma p. t. „Epoka", bo chociaż za panowania Rosjan poprawiałem jako nauczyciel ludowy prace bardzo wielu uczniów i uczenic, to jednak, odkąd na emeryturę przeszedłem, nie imałem pióra do ręki, nie dlatego, oczywiście, żeby tematu brak, lecz sam nie wiem dlaczego, ot, tak sobie... może ze zmartwień osobistej natury, zresztą jednak mniejsza z tem!...

Dostrzegam z przejęciem znamienny rys kierunku poczytnego pisma, t. znaczy „Epoki", mający na celu t. zw. minimum odżywiania jednostki. Nie znaczy to, bym lubiał osobiście specjalnie nieźle zjeść, — niechże mnie zacny Redaktor o ten fakt nie posądza, — w związku wszelako przyszłością mojego najmłodszego z dzieci syna, zastanawiałem się w długie jesienne i zimowe wieczory, jakby to przyszłość mego Benjamina pokierować tak nie inaczej, żeby w te czasy srogie nie zaznał on nędzy specjalnej i złej.

Już ś. p. Brzozowski Stanisław rozprawił się w swej bezporównania najpiękniejszej „Legiendzie" z Polską, jako z przedmurzem Chrześcijaństwa, — z drugiej zasie strony los jest jak ów Chrystus z listów Słowackiego, który samotnego wędrowca-uciekiniera stawia zawsze na kolana przodem do siebie. Nie myślę stawać w rzędzie takich obrońców katolicyzmu jak Sobieski, lub Marszałek Piłsudski, który nie ze względu na „Cud nad Wisłą", bowiem w cuda nie wierzę, ale ze względu na Księdza Ministra Żongołowicza, który jest moim niedoszłym zwierzchnikiem, czyli szefem, jak to się dzisiaj mówi, bowiem jestem już na emeryturze...

Zacny Panie Red. i drogie Czytelnicy!... Może się to nie zgadza z pisma waszego szanownego charakterem, jednak, według mego najskromniejszego osobistego mniemania, najlepszym indywidualnym ratunkiem dla młodego mężczyzny, jest seminarjum duchowne w Płocku lub gdzieindziej. Dowiadywałem się już gdzie mogłem, jak kryzys ogólnowszechświatowy wpłynął na frekwencję w tych instytucjach, bowiem pragnę tam syna mojego umieścić. Cóż znaczą się przekonania wobec takiego nieszczęścia publicznego jakiem jest bezrobocie?...

Jasna Góra ma dużo pieniędzy, — inne święte miejsca też. Radzę i nalegam, żeby wpłynąć na te instytucje, żeby powiększyły liczbę seminacji duch. i żeby w ten sposób, żeby wzamian za święcenia kapłańskie można było studjować w nich obok teologji i scholastyki, liturgiki i ekonomji kościelnej inne nauki, takie — jak medycyna, ewentualnie inżynierja wodna i lądowa i t. p.

Kobiety niezamężne, czyli panny będą może protestowały przeciw takiemu uduchowieniu naszego życia społecznopolskiego, ale matki biednych chłopców bezrobotnych — nie. Polska następna, czyli jutrzejsza — jako gospodynia księża, — oczywiście, że to nie tego, ale jednak cóż robić?!

Pozdrawiam miłych mi współpracowników Sz. Pisma „Epoka", — pp. Cycera wsi polskiej — p. Lukrecego Henryka, pogromcę Starego i Nowego Testamentu, p. Rogowicza Wacława, — piewcę zdemoralizowanej służby domowej, — p. Kornackiego Jerzego, bojowniczkę bibljotek publicznych p. Strzelecką Janinę, szlachetnego p. Czeczelnickiego, a przedewszystkiem czcigodnego i zacnego — Pana Redaktora Naczelnego „Epoki", który pisuje artykuły stanowczo za mocne na moje starcze nerwy, — po ostatnim artykule p. Redaktora dostałem silnych dreszczy. Raz jeszcze zgóry dziękuje za łaskawe umieszczenie mego listu i pozostaję w niskim ukłonie

Płock *A. M.*
em. prof. szkół pow.

Przypisek Redakcji. Zamieszczamy list powyższy, jako dość charakterystyczne curiosum — z dziedziny projektomanii w zwalczaniu kryzysu i bezrobocia.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu J. M. w Wiedniu. Nie zamieścimy.

Panu Leonowi K. w Warszawie. Od paru tygodni otrzymujemy codziennie pańskie utwory — poezje, feljetony, rozprawy, nowelki, aforyzmy. Błagamy o przerwanie tej nawałnicy. Ani jedna rzecz nie nadaje się do druku.

Panu Bolesławowi Święcickiemu w Wilnie. Będziemy wysyłali. Życzymy powodzenia.

TREŚĆ NUMERU.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-67 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.